

Marek Wawrzkiwicz

# Nasz niepowtarzalny, polski patriotyzm <sup>(1)</sup>

## 1. Pośpiewajmy

Tę prześliczną piosenkę śpiewamy od przynajmniej trzech, a może i czterech pokoleń. Jest łagodnie wzruszająca, łatwa, przyjemna i nie ma potrzeby zastanawiania się nad jej przesłaniem i sensem. Mimo to spróbujmy – ale nie nućmy, tylko czytajmy.

*Jak to na wojence ładnie,  
Kiedy ułan z konia spadnie.  
Koledzy go nie żałują,  
Jeszcze końmi go tratują.*

Uroda i wdzięk tej piosenki nie polega tylko na zlekceważeniu zasad języka polskiego, w którym – poza wyjątkami – akcent pada na przedostatnią sylabę. Tu zawsze pada na ostatnią. Koledzygo – tak to słyszymy – nie jest nazwą egzotycznego zwierzęcia, to taka niefortunna zbitka: koledzy go... itd. Ale to tylko filologiczne czepliactwo, chodzi o coś ważniejszego, o wymowę utworu. Jest w nim nie wojna ze wszystkimi jej okropnościami, a wojenka, zabawa, w której ochotnie uczestniczymy. I przykład braterstwa na polu walki. Wypływa z tego wniosek: prawdopodobnie pod Samosierrą mniej szwoleżerów zginęło od hiszpańskich dział, niż pod kopytami końskimi towarzyszy broni. Skoro wojenka jest zabawą, to i Powstanie Warszawskie było wesołą przygodą, bo:

*Pałacyk Muchła, Żytnia, Wola,  
Bronią się chłopcy spod Parasola,  
A na Tygrysy mają VIsy,  
To warszawiacy, dzielne urwisy...*

Dla starszego pokolenia są to sprawy oczywiste, młodszemu trzeba dawne teksty tłumaczyć na język przystępny. Tygrysy to jedno z najgroźniejszych czołgów II wojny światowej, VIsy to pistolety. Proporcje w uzbrojeniu wywodzą się z legendy sławiącej ułanów szabłami atakujących czołgi. We współczesnym języku słowo „urwis” już nie występuje, wyjaśniam więc, że to po prostu łobuz (jeśli to słowo nie wymaga tłumaczenia); w tym przypadku nie ma ono znaczenia pejoratywnego, chodzi raczej o łobuziaka, który zaraz jakąś psotę wrogowi wyprawi. Wesoły obrazek: z pistoletem na czołg. A jeśli w tej zabawie odniesiesz ranę, to ci się to opłaci, bo: „sanitariuszka, morowa panna da ci buziaka. Może się przytrafić coś gorszego, ale przynajmniej potomni powiedzą: - jak pięknie ginęliśmy... Westchnienie wydadzą z siebie ci, co nie zginęli. Przygoda. Nic tylko w pogodny sierpniowy dzień budować baryka-

dę w Alejach Ujazdowskich, przebierać młodych ludzi w chełmy i opaski i rekonstruować. Ale rekonstruować tak, żebyśmy wygrali. Ku pokrzepieniu serc. Krzepi pomnik małego powstańca na warszawskim Podwalu, ale oburzają nas dzieci afrykańskie czy arabskie uzbrojone w kałachy.

Nie pamiętam ani tytułu, ani autora publikacji, ale jej treść trafiła mi do przekonania, więc na użytek tego tekstu pozwałam sobie nią częściowo posłużyć. Chodzi o świątą pieśń Polaków „Czerwone maki”.

*Czy widzisz te grzyby na szczycie?  
Tam wróg twój się kryje jak szur...*

Wyobrażam sobie, że zabicie człowieka jest ciężkim doświadczeniem, ale zabicie obrzydliwego gryzonia to coś pożytecznego. Wroga trzeba więc odczłowieczyć. Wróg w tym przypadku nie był przedstawicielem narodu, który wydał wielkich myślicieli, poetów, kompozytorów, a kimś, kogo obojętnie należało „za kark wziąć i strącić z gór” w jedyny możliwy sposób: przez fizyczne unicestwienie. Oczywiście – wojna nie jest eleganckim przyjęciem, na którym prawi się komplementy, to machina służąca zabijaniu. Przeżyję, jeśli nie przeżyje wróg. Chodzi mi jednak o mechanizm psychologiczny. Znamy to z przeszłości – dzielono całe narody na nadludzi i podludzi. Nadczłowiek zabijał podczłowieka, nie ponosząc szkód psychicznych. W łagodniejszej, „ucywilizowanej” wersji wraca to do nas dzisiaj: ludziom „gorszego sortu”, tym, którzy noszą w sobie „gen zdrady”, „targowiczanom” należy się znacznie mniej. Nie musimy ich fizycznie likwidować, ale nie mają prawa do szacunku, zasługują na pogardę i gorszy los.

W ramach tzw. sprawiedliwości społecznej i czyszczenia historii po prawie 30 latach od zmiany ustroju przeprowadzamy radykalną dekomunizację. Stare tablice z nazwami ulic zastępujemy nowymi, słusznymi. Znikają z naszych miast i miasteczek m.in. nazwiska pisarzy, szkoły i instytucje kultury, mocą nadania przez władze, otrzymują nowych patronów. Leon Kruczkowski, autor szanowanego i przed wojną dzieła „Kordian i cham”, był przed Mrożkiem najbardziej cenionym na świecie polskim dramaturgiem. Ale okazał się niegodnym patronem teatru w Zielonej Górze, nie zasłużył na ulice i popiersia, wykreślono go z historii polskiej literatury. I nie pomogło mu nawet to, że jego sztukę grano na całym świecie, a „Niemców” w Moskwie wystawiono dopiero kilka lat po premierach w Londynie czy Madrycie. Zgo-

tował sobie ten los, bo był przecież nie tylko prezesem Związku Literatów Polskich, ale także – o zgrozo! – wiceministrem Kultury. Odnoszę jednak wrażenie, że ta lustracja historyczna jest zbyt powierzchowna i płytka. Należałoby z korzeniami wyrwać wszystko, co trąci jakimkolwiek postępowaniem, zalatuje socjalizmem i śmierdzi rosyjskością. Nie chcemy o tym pamiętać, ale popatrzymy prawdzie w oczy: na szczególnie podniosłych uroczystościach patriotycznych, a także w kościołach, śpiewamy od 202 lat pewną pieśń o podejrzanym rodowodzie. W zależności od epoki i nastroju zmieniamy tekst oryginału. Raz jest racz nam wrócić Panie, innym razem pobłogosław Panie. A w oryginalnym ten tekst brzmi:

*Pod twe ołtarze zanosim błaganie,  
Nasze go króla zachowaj nam Panie.*

Pieśń „Boże, coś Polskę” w roku 1816 napisał Alojzy Feliński na cześć króla Polski, cara Aleksandra I. Biję się w piersi: sam przez całe lata śpiewałem te pieśni i piosenki, nie zastanawiając się nad ich sensem. Ale w okresie wzmocnienia patriotycznego naszła mnie myśl, że może jednak warto poświęcić im chwilę refleksji. Czy wspomagają one budowę swoistego, niepowtarzalnego polskiego ukochania ojczyzny? Mam nadzieję, że tylko w niewielkim stopniu, choć zapewne należą do patriotycznego wyposażenia dorodnych młodzieńców maszerujących pod znanymi z przeszłości flagami. A swoją drogą, ciekawe jakie pieśni śpiewa leśny führer, który w blasku ognisk i na tle swastyk w jednozdaniowym toaście słaży Adolfa Hitlera i ukochaną Polskę. A może śpiewa tylko Horst Wessel Lied?

Jak kraj długi i szeroki, w każdym mieście i miasteczku wzniesiono pomniki Janowi Pawłowi II, ochrzczono jego imieniem tysiące ulic, placów, szkół i szpitali, ale nie sądzę, żeby nasz naród stał się lepszy, bardziej religijny i żebyśmy mocniej kochali bliźniego swego. Ulice, place, instytucje, stowarzyszenia i instytucje nazwane imieniem „poległego” prezydenta tylko w niewielkim stopniu wpływają na wzrost jego uwielbienia. Uporczywe stosowanie w każdej okazji słów – pisanych największą literą – Naród, Ojczyzna, powodują pewnie ich wyświechtanie, zużycie. Czy naprawdę większym patriotą jest ten, który grzmiąc się tymi słowami posługuje, od tego, który je naprawdę szanuje i w związku z tym posługuje się nimi rzadko i wstydliwie?